

MALY POSŁANIEC

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego.“ Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 21^{ll}

Bydgoszcz, niedziela 17 października 1909.

Rok II.

Strach.

Z życia górnika.

Ażeby prędzej przybyć do szybowego wyjazdu, Jan Kostka, młody górnik puścił się na „bliższe drogi“. — Nie znalazł jeszcze dobrze kopalni, mimo to jednak, tak mu szpieszno było „na świat“, tak się serce rwało do tej, która tam na niego z utęsknieniem czekała, że odważył się na krok tak śmiały, jakim jest droga przez „stare działa“ (ustronia kopalni).

Jemu jednak ani przez myśl nie przeszło jakie niebezpieczeństwo; był młody, krzepki, pełen sił żywotnych w tym szczęśliwym wieku, gdy najtrudniejsze przedsięwzięcia zdają się być niczem wobec olbrzymiego zasobu energii i woli. Szedł rączym krokiem z wesołą na ustach piosenką, która dzwoniła o ściany chodnika, uderzała echem rozgłoszonym o ciemne otchłanie komór. Wszystko szło z początku bardzo pomyślnie, tam lepiej, że chodnik był prosty i obszerny i że Kostka przypominał sobie dokładnie drogę, którą raz przebywał w towarzystwie starych górników. Już się też cieszył naprzód, jak to on pierwszy po szybcie stanie w podszybiu u wyjazdu i jak potem skokiem znajdzie się tam, gdzie go tak bardzo serce ciągnie.

Idąc w ślad wesołym myśлом swoim huknął teraz z całej piersi:

— Maryś, moja Maryś! — aż mu echo dalekiej komory odpowiedziało tak rozgłosznie, jakby to ona z nim się przekomarzała powtarzając:

— Maryś!!

Pierwsze zakłopotanie sprawiły Kostce rozstajne drogi, któremi się długi chodnik zakończył. Wiedział, że ma iść na zachód, ale zdać sobie nie mógł sprawy: w której stronie ten zachód leży?

Chodniki wszystkie były niskie i ścieśnione. Podpory z drzewa i dyle stopowe zostały miejscami tak zmiażdżone, że pień gruby zmienił się w drobne patyczki. Belki pionowe niedostawały kolan, przez które sterczały dołupane trzaski i wyglądały, jak postacie zmuszone pod naciskiem olbrzymiego ciężaru do przybrania klęczącej pozycji. Kostka po dłuższej chwili namysłu skreślił w jeden z mniej wygodnych chodników i zaczął się szybko między wąskimi ścianami przesuwając. Po dłuższej wędrówce

wszedł do komory i bacznie się po niej jął rozglądać.

Komora ta wydała mu się obcą zupełnie. Ściany miała z wilgoci oślizgłe, powała była miejscami zabezpieczona belkowaniem i wsuniętymi po za belki deakami, ale śnać i tu musiał być nacisk ogromny, bo drzewa były ogromnie zdruzgotane, deski poprzelamywane i wszystko w takim wydawało się stanie, jak gdyby wraz ze stropem, na którym znać było duże szczeliny, każdej chwili runąć miało na ziemię. — Z komory, która ciągnęła się w szersz daleko tak, że część jej całkiem zniknęła w mroku, wiódł jeden tylko chodnik kręty, pochyły. Kostka zapuścił się jeszcze w ten chodnik, ale i tu zorientował się łatwo, że on tą drogą nie przechodził nigdy, że zbłądził i że mu trzeba wrócić do głównego chodnika i skreślić w inną poprzecznicę (boczna ulica) na drogach rozstajnych.

Przy wejściu do komory chciał się rozglądać raz jeszcze, wznosił do góry kaganek, by ją lepiej oświecić, ale w tej samej chwili wpadło kilka kropel z powały wprost na płomień kaganka, który pryskając, sycząc i walcząc zawzięcie z wodą, musiał wreszcie uleść przeważającej sile drugiego żywioła i zgasł.

Kostka pozostał w ciemnościach.

Pierwszą myślą, która mu głowę przeszyła, było czy ma przy sobie zapalki? i na samo przypuszczenie, że mógłby ich nie mieć, już go lęk obleciał. Ażeby kaganek mieć tuż przy sobie usiadł na ziemi i rozpoczął pilne przeszukiwanie całej odzieży. Ręce mu drżały jak w febrze. Po każdym bezskutecznym zapuszczeniu palców w kieszenie zimny dreszcz go przechodził. Nareszcie gdzieś w samym rąbku długiej kapoty namacał jedną jedyną zapalkę. Ręce miał zmoczone obcieraniem zalanego wodą knota, więc je starannie wytarł o polę kapoty i ostrożnie siarnik zapalił. Ale przy błękitnym pierwszym płomyku ujrzał coś takiego, co mu odrazu strachem okropnym włosy zjeżyło na głowie. W odległości kilku kroków od niego stał ktoś z rozpostartym szeroko długim białym płaszczem. Kostka aż zadygotał cały; zbliżył zapalkę do knota, by coby prędzej światłem odpędzić widmo, ale czy to wskutek drżenia ręki, czy też z powodu przesylenia opadła z powały wilgocią knot rozświecić się nie dał, i Kostka znalazł się naraz w zupełnej ciemności.

W pierwszej chwili nie mógł zdać sobie sprawy: co począć; beużyteczny kaganek wypuścił z ręki i chciał iść po omacku w kierunku chodnika, którym wszedł do komory. Rzucił się naprzód, ale uderzył zaraz w głaz, który go z nóg powalił. Starał się otworzyć szeroko oczy, by przecieć coś dojrzeć w zupełnej ciemności, ale na czarnym odmiecie ani jedna nie odejmała się linia. Zdawało mu się tylko, że widzi białą postać bliżej siebie; zaczął drzeć mocniej na całym ciele, zacinał silnie powieki i stał. Czuł jednak, że słabnie, że coraz mocniej uginają się pod nim kolana, więc przykucał i siedział nieruchomo z oczyma zamkniętymi. Podrażniona i wyczulona wyobraźnia począła mu teraz nasuwać na pamięć wszystkie co kiedykolwiek słyszał od starych górników o dobrych i złych duchach kopalni. Widział jaknajwyraźniej owe brodate dyabliki, co to płaczą się wszędzie w podziemiach i górnikom rozliczne wyprawiają psoty, a najchętniej siedzą w starych działach. — Nie wątpił, że muszą być gdzieś niedaleko i że się wkrótce wezmą do niego. Ale Kostka był pobożny, więc zaczął odmawiać Zdrowański i żegnał się często. To mu znacznie ulżyło. Siedział teraz przez chwilę spokojnie, starał się zmysły skupić i jał zastanawiać się nad tem, czy przecieć nie byłoby jakiego sposobu wydostania się z tej komory.

Z pierwszego kroku w ciemności przekonał się jednak, że mógł tylko posuwać się na czworakach, lub czołgać się macając rękoma przed sobą. Przeżegnawszy się raz jeszcze, chciał rozpocząć trudną wędrowkę, gdy wyciągnięta dłoń jego dotknęła śliskiej ściany, która wydała mu się ścianą grobu. I wszystko, co pod wpływem modlitwy ucichło na chwilę, odezwowało się w nim na nowo. Lęk go chwycił w ramiona i trząść nim począł, jak potężny wichur wstrząsa drzewem osiki. — Odrzucił się od śliskiej ściany i zaczął pełzać w przeciwnym kierunku i wtedy mu przyszło na myśl, że on wprost idzie na tę postać białą, którą ujrzał przy świetle zapalki. — Wyciągnął rękę i krzyknął okropnie; uczuł najwyraźniej, że mu ktoś dłoń uchwycił w zimne szpony. Czasu dłuższego potrzebował zanim rozpoznał, że była to rękojęść kaganka porzuconego na ziemię. To go trochę opamiętało; zaczął raźniej posuwać się dalej, ale zaledwie zrobił kilka poruszeń, usłyszał nagle jakiś szum i huk odległy. Huk ten pochoził od strzałów min podziemnych, ale jemu się wtedy zdawało, że takiego odgłosu nigdy jeszcze w kopalni nie słyszał. Przycupnął, zaparł dech w piersiach; był najpewniejszy, że to tuż poza ścianą coś niustannie tak huczy i szumi. Wtedy przypomniał sobie co mu opowiadał raz górnik stary: o pożarze kopalni.

— Może to pożar wybuchi? Ogień chwycił się podpór drewnianych i oto wała się stare stropowiska i z tego tak huk powstaje. Płomień skacze od belki, trzeszczą suche odwieczne drzewa rozłupane na cienkie trzaaki, które płoną jak smolaki, dym gęsty wali kurytarzami i wkrótce pewnie tu wpadnie, by go udusić. Wszystko widział żywo w podnie-

ionej lękiem wyobraźni. Rzucił się naprzód, jak szalony, krwawił sobie kolana, kaleczył ręce, rozbił głowę o ścianę: szedł naprzód, a natrafiwszy na przeszkodę, cofał się, by za chwilę zaowu iść w innym, jak mu się zdawało kierunku.

Naraz wyciągnął rękę i struchlał cały: ręka utonęła w próżni; wyciągnął drugą i druga nie mogła znaleźć oparcia: był nad skalistą przepaścią lub nad otworem podziemnego szybu. Chciał się cofnąć, ale doznał takiego zawrotu głowy, że po chwili nie mógł sobie zdać sprawy, w którą stronę ma skrećić, by do przepaści lub szybu nie upaść, gdzie czekała go śmierć pewna. Zimny pot wystąpił mu na czoło, trwoga przedśmiertelna odebrała mu resztę zmysłów. Zdawało mu się, że słyszy jakieś przygłoszone stapania, jakieś dzikie głosy i śmiechy szatańskie — ani wątpił, że to już idzie zgraja dyabłów brodatych, by zawlec jego duszę, co bez spowiedzi schodzi ze świata — prosto do piekła. — Już ich słyszy wyraźniej, coraz bliżej i bliżej; idą gromadą i wkrótce pochwycają go za włosy, które mu strach zjeżył do reszty. Wtedy odezwwała się w nim ostatnim wysiłkiem żądza życia, chciał krzyczeć, co sił stanie, ale głos łamał mu się w gardle.

— Ratunku!... ludzie!... — wołał ochryplym głosem.

— Ratunku!

Tymczasem kroki złych duchów słyszeć się dały coraz bliżej. Już, już stali tuż po nad nim, więc się rzucił gwałtownie, zarył twarzą do ziemi, żeby się bronić do ostatka i nie dać łatwo pochwyć zlemu. Ale oto już — już sięga któryś po niego ręką, targa za włosy i krzyczy:

— Wstań!!

Kostka nie chce podnieść głowy, lecz szarpną go mocno, więc się odważył bokiem zerknąć i od razu siadł na ziemi.

— Rany boskie!! to wy? — zawołał, widząc dwóch znajomych górników.

— Jasiek, cóż ty tu robisz?

— Ano... chciałem iść na bliższe drogi... i światło mi zgasło.

— Jakżeś ty się mógł tędy puścić? Gdzie-byś był zaszedł tą drogą?

— Szedłem raz tylko i pomyliłem.

— Gdzież twój kaganek? Cóż to, nie miałeś zepalek?

— Miałem ino jedną.

— Ino jedną? to z ciebie tęgi górnik!

— A niebażesz się Jaśku? — spytał śmiejąc się stary górnik.

— Niecee... i czegoż bym się miał bać? — odrzekł Jasiek przeciągle.

— No, to dziękuj Bogu, żeśmy cię tak rychło znaleźli, bo byś tu był pewnie albo wpadł do szybu, albo długą postną nowennę odprawiał.

— Zkądżeście wy się tu wzięli?

— Przyszliśmy po strzelce odetchnąć świeżem powietrzem, bo tam z dymu zaduch ogromny.

Jasiak już miał wytłumaczone wszystkie huki i szумы, które wśród lęku brał za skutki pożaru. Pewna tylko rzecz jeszcze była mu niejasna. Wiec wziął od jednego z górników rozjarzony kaganek i obchodził zwolna ściany komory. Zobaczył znów płaszcz biały, ale teraz zbliżył się do niego bez lęku i dotknął rękami wapiennego nacisku, który w tem miejscu w takiej ludzkiej formie skałę pokrywał.

— Cóżto tam szukasz, Jasiak? — pytali go górnicy.

— Rzuciłem tu gdzieś kaganek a ot jest — rzekł wesoło... — Śmiać mu się teraz chciało z siebie okrutnie i z tych duchów brodatych i ze strachu samego, ze wszystkiego, całym sercem; więc dając wyraz swej radości krzyknął, aż zadudniała komora:

— Do domu bracia!! bo tam jadło czeka, a ja mam diabli apetyt!

— Zdaje się, że ciebie jeszcze coś tam czeka, — rzekł jeden z towarzyszy.

Wtedy Jasiak wziął się pod boki i zaśpiewał donośnie:

— Maryś moja, Maryś!

I z tą wesołą piosenką, rozlegającą się szerokim echem, opuścili komorę, gdzie przed chwilą gościła śmierć.

Ogniem i mieczem.

Powieść z lat dawnych

Henryka Sienkiewicza.

(Ciąg dalszy.)

W Toporowie, w królewskiej komnacie z Janem Kazimierzem siedziało dwóch doradców: Hieronim Radziejowski i Jerzy Ossoliński, kanclerz koronny — sławny przeciwnik księcia Jeremiego.

Siedzieli w Toporowie smutni, nie wiedząc, co począć, bo przy królu było tylko 25000 wojska. O Chmielnickim nie mieli dokładnych wieści, a on tymczasem umyślnie nikogo do króla nie dopuszczał, aby król nie mógł dostać języka. Buntowniczy hetman chciał bowiem zamknąć częścią swych sił konający już Zbaraż, a sam zamierzał zjawić się niespodzianie z całą potęgą tatarską i kozacką przed królem, otoczyć go wraz z wojskiem i wydać w ręce chana.

Obaj panowie na pytanie królewskie, co robić, mówili:

— Czekać!

— Czekać? — powtórzył król, — a tam Wiśniowiecki i regimentarze zgorzeją pod Zbarażem.

Wtem dano znak, iż przybysz jest ze Zbaraża.

— Król zerwał się z krzesła, kanclerz powstał i obudwom wyrwał się okrzyk:

— Nie może być!

— Dawaj go na Matkę Najświętszą! — zawołał król.

Tyzenhaus wprowadził straszne widmo w lachmanach, wychudłe, trupami cuchnące.

— Ktoś ty? — spytano.

Nie mógł mówić, chwiał się i ledwo wyjąknął:

— Ze Zbaraża!

Dano mu wina, okryto delią, a po wypoczynku dowiedziano się wszystkiego.

To Skrzetuski przybył ze Zbaraża z wzwaniem pomocy.

Król ruszył natychmiast z wojskiem, Skrzetuskiego opiece księdza Cieciszewskiego oddając. Tłumnie ciśnięto się do zbiedzonego p. Jana, wołając:

— Nie było większego rycerza nad ciebie!

Gdy ksiądz sam na sam z nim pozostał i wypytywać zaczął, radość oblała zasnę twarz jego i rzekł:

— Niezbadane są drogi, któremi Bóg człowieka do spokoju i szczęśliwości prowadzi.

Skrzetuski ledwo żywy, jedno tylko wiedział i tem był szczęśliwy, a to, że król do Zbaraża zaraz ruszył, bo gdy kanclerz rzekł Panu, iż wozy nie będą mogły ruszyć przedniem, król odparł:

— Komu wozy milsze od ojczyzny i majestatu, ten niech zostanie.

Szum jakiś doleciał uszu Skrzetuskiego.

— Wojsko idzie! — mruknął do siebie!

Potem szum ten poszedł się oddalać, słabnąć, niknąć, topnieć, aż nareszcie cisza objęła Toporów.

* * *

Skrzetuski spał kilka dni, a po przebudzeniu jeszcze go nie opuszczała gorączka. Przywidywały mu się różne sceny z dawniejszego życia, a ciągle mu się zdawało, że Rzędzian siedzi przy nim.

— Rzędzian! — wykrzyknął współprytomnie.

— O mój jegomość — woła pacholek i do nóg mu przypada. — To mnie jegomość poznał?

Nastąpiła chwila milczenia.

— Gdziem jest? pyta Skrzetuski.

— W Toporowie. Jegomość ze Zbaraża do króla jegomości przyszedł. Chwała Bogu.

Tu zaczął o wszystkim opowiadać. jeno wciąż się zacinał.

— Ale ksiądz mi mówić zakazał!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przyjacieli dzieci.

Najbliższymi sercu Stanisława Jachowicza były sierotki, jak już dziatki wiecie, bo one najwięcej potrzebowały opieki. Jedna z małych uczennic jego straciła rodziców w krótkim czasie. Jachowicz zastąpił sierocie miejsce ojca i matki, biorąc dziewczynkę do swojego domu.

Niezadługo potem kilka innych sierot znalazło przytułek w domu zacnego nauczyciela, aż wreszcie zebrała się ich spora gromadka.

Było o czym myśleć. Wszystkie te osieroczone dzieci żywił i odziewał własną ciężką pracą i uczył je sam.

Ale w Warszawie było tak wiele sierót, które potrzebowały opieki! Jachowicz nie mógł ich wszystkich przygarnąć do swego domu. Łamał więc sobie głowę nad tem, jakby przyjść w pomoc biednym sierotkom, dać im opiekę i wychować na pożytecznych ludzi. Na to potrzeba dużo pieniędzy, a tych biedny nauczyciel nie posiadał wiele. A jednak powiodło mu się założyć dom dla sierót w Warszawie. Posłuchajcie, jak się to stało.

Oto pewnego razu opowiadał Jachowicz w towarzystwie, że pragnąłby wybudować dom dla sierót i ta myśl go bezustannie męczy. Rozmowie starszych przysłuchiwał się Józio, syn państwa domu, a uczeń Jachowicza. Dobry chłopiec wysunął się cichaczem z pokoju, a powróciwszy, położył nieśmiało przed Jachowiczem dwa złote, które były jego własnością i poprosił, aby je nauczyciel jego przyjął na budowę domu dla sierót.

Uściskał serdecznie Jachowicz poczeiwe dziecko i przyjął jego ofiarę. Te dwa złote, dane ze szczerego serca, były ziarnkiem, do którego przybywały coraz to nowe, przywabione dwiema złotówkami. Z drobnych piątek urosło w rękę Jachowicza osmdziesiąt tysięcy złotych, za które wystawiono dom dla sierót.

Ciekawe zapewne jesteście, dziatki, jakim sposobem z drobnych datków urosła tak znaczna suma? Oto znalazły się zapewne dzieci zamożnych rodziców, które tak, jak Józio, własny grosz ofiarowały Jachowiczowi na dom dla sierót, zamiast go wydać na przysmaczki lub przyjemności swoje.

Obok drobnych składek znalazły się także hojne datki, które bogatsi składali Jachowiczowi na schronienie dla jego ukochanych sierotek. W nowo wybudowanym domu znalazło pomieszczenie sto osieroconych chłopców.

Ale nie myślcie, żeby Jachowicz nie troszczył się także dziewczynki sierotki. Dla nich jednak nie było potrzeba nowego domu, bo je umieszczono w gotowym już budynku.

Kasztany.

Broniś był bardzo łakomym chłopcem; jak tylko dostał parę fenigów, przejadał je zaraz. Raz zobaczył na owocowym targowisku bardzo piękne kasztany. Ponieważ nie znalazł jeszcze tego owocu, więc zbliżył się do owocarki i zapytał, czyby te dziwaczne kulki były do jedzenia.

— Te kasztany? — pytała kobieta, — nie inaczej! Niech tylko panicz je kupi! są wyborne, szczególnie, gdy są w gorącym popiele upieczone.

Broniś wydał już przedtem wszystkie swoje pieniądze na inne owoce, więc rozmawiając z przekupką, brał ukradkiem pełne garście kasztanów i chował do kieszeni.

Wrócił uradowany do domu, wsunął się do kuchni, a że tam właśnie nikogo nie było, włożył kasztany w gorący popiół. Wkrótce zaczęły pękać; to go tak cieszyło, że przelożył je jeszcze żarzącymi węglami i dał w nie całą siłą.

Naraz pękł jeden kasztan z taką siłą, że popiół i żar wybuchnął prosto w twarz i oczy Bronisia. Zaczął teraz głośno płakać i krzyczeć o ratunek, bo nie widział, a twarz bardzo go piekła.

Na przeraźliwy krzyk Bronisia zlecieli się wszyscy do kuchni i złodziejstwo się wydało. Mały złodziej cierpiał ogromne bóleści, zanim oczy się wygoiły. Żałował czynu swojego bardzo i obiecywał ze łzami w oczach poprawę. Poprawił się też istotnie i zawsze odtąd był rzetelnym i uczciwym.

Dwa wróbelki.

Były się raz na ulicy
Dwa młode wróbelki,
Szło im o ziarno pszenicy,
Skarb wcale niewielki.
Ten chce sobie — a ten sobie,
A oba uparte.
„Nie dam tobie.“ — „Nie dam tobie.“
Czubią się zażarte.

Przybiegł kogut na te krzyki,
Pyta: „O co chodzi?
A zuchwalcy, a złośniki,
Czyż to bić się godzi?“
I w okolo z gniewem w dziobie,
Zgorszony tą sprzeczką,
Obu wróblom dał po czubie,
A sam zjadł ziarneczko.

Stąd wypływa jaknajjaśniej
Prawda oczywista.
Że tam, gdzie się dwóch poważni —
Ktoś trzeci skorzysta.

Łamigłówka.

arkan
mie
rak
anna
urek
uda
wierzę
lew
as
kra
zara
alka
mur

Przez dołączenie jednej litery na początku podanych wyrazów utworzyć rzeczowniki, a początkowe te litery nazwą praojca i prababkę rodu królewskiego w Polsce.